

STANISŁAW LEM

## MATERAC

I.

- Drogi doktorze - powiedziałem. - Pan jest nie tylko moim osobistym lekarzem, ale przyjacielem domu. Problem, który panu zawierzę, nie należy pewno do medycyny, ale znajduję się w takim położeniu, że nikomu już nie ufam - poza panem.

Doktor Gordon, psychiatra, pykał swoją fajkę, patrząc na mnie z takim wyrazem, jakby powstrzymywał uśmiech pobłażania. Może myśli, że ze mną staje się to samo, co zaszło z moim ojcem, przemknęło mi przez głowę, ale tak czy owak musiałem mówić dalej.

- Ponadto obowiązuje pana - dodałem nieco oschlej - tajemnica lekarska, podobna do tajemnicy spowiedzi. Otóż rzecz w tym - pan mnie słucha uważnie? - że się do mnie już wzięli. Że mnie "namierzają", jak to nazywają w telewizji i w prasie. Nic mam stuprocentowej pewności, ale...

- Zaraz - powiedział Gordon. Wytrząsał systematycznie paprochy popiołu z fajki do srebrnej popielniczki z trzema amorkami. - Najpierw niech mi pan opowie o tym "namierzaniu". Domyślam się, że panu chodzi o zagrożenie osobiste - że chcą pana porwać, tak?

- Naturalnie. Już zaszło tyle podobnych przypadków. Mam tu "New York Times" z poniedziałku. Opisują szczegółowo sposób, w jaki odbywa się "porwanie w wirtualną rzeczywistość" na przykładzie Billa Harknera. Ja go nawet znałem, chodziliśmy do tego samego college'u. Pan to czytał, prawda?

- Przeglądałem tylko. W końcu, wie pan, to nie należy do mojej specjalności. Zły użytek, jaki ludzie robią z nowożytnych technik, jest już tak powszechny i różnorodny, że nikt w pojedynkę nie może służyć w każdej sprawie jako ekspert. Ale proszę mówić. Może pan - nieznacznie się uśmiechnął - być pewnym, że to, co mówi pan w moim gabinecie, dociera wyłącznie do moich uszu...

- Więc pan wie, w każdym razie, że porwanie Billa nie zakończyło się jego śmiercią wyłącznie przez przypadek?

- Wiem. Oczywiście. Po prostu ustał dopływ prądu w tej dzielnicy, w której trzymali go na strychu i zbudził się, to znaczy zorientował się, kim jest naprawdę, i co było tylko złudzeniem, wywołanym fantomatyacją. I co? Pan sądzi, że na pana również nastają? Na jakiej podstawie?

Nie byłem całkiem pewien, czy Gordon traktuje moje zaniepokojenie z zupełną

powagą. Może wolałby, żebym po prostu podlegał urojeniom, typowym dla jego specjalności? Ale tak czy owak za daleko już załazłem, musiałem mówić dalej.

- To jest tak - powiedziałem. - Jeszcze pięć lat temu cała ta historia z inwestycjami w "wirtualną technikę" czy tam "realność" wydawała mi się niepoważna. Ot, mania jaką kiedyś było jo-jo, nie chciałem wejść do Visionary Machines, chociaż moi brokerzy namawiali mnie, żebym wszedł co najmniej na 20 procent pakietu akcji. Ale nie wierzyłem. Natomiast, owszem, od razu sobie pomyślałem, że tak jak powstał *computer crime*, powstanie z kolei *virtuality crime*. I miałem rację, ale pan chyba pojmuję, że człowiek o mojej pozycji w środowisku, poważany i tam dalej, nie będzie się zajmował czymś, co stanowi najpierw żer dla żurnalistów i autorów thrillerów?

- Tego wszystkiego nie musiał mi pan mówić - zauważył Gordon. Fajka mu zgasła, dłużej w niej, co mnie trochę zniesmaczyło, ponieważ oczekiwałem większej koncentracji uwagi na moich słowach. W końcu nie byłem byle jakim człowiekiem, byle pacjentem Gordona: szanował mnie zawsze dostatecznie, żeby kwartalne jego rachunki osiągały rekordowy pułap. - Powiedzmy - ciągnąłem. - W każdym razie o tyle miałem słuszność w oczekiwaniach, że odkąd jakość wirtualnej rzeczywistości dorównała jakości prawdziwego świata, odkąd coraz trudniej się stało rozróżniać te iluzje fantomatyczne od zwykłej jawy, sprawa nabrała paskudnego wyglądu... i rozpędu.

- Wiem. - Gordonowi udało się po pewnych wysiłkach zapalić zgasłą fajkę. - Wiem. Te tak zwane porwania usystematyzowały się dzięki powstaniu wyraźnej motywacji. Tak zwane "porwanie" polega właściwie tylko na tym, że człowieka "odłączają" wszystkimi zmysłami od świata i "podłączają" do komputera, który świat udaje. Ale właściwie, panie kochany, powinien by pan zwrócić się w całej tej sprawie albo do dobrych prawników - tych panu nie brakuje - albo do inżynierów-fantomatyków. Psychiatria niewiele ma tu do roboty...

- Dziwne, co pan powiada - rzekłem - przecież cała sztuka w tym, JAK człowiek, któremu się zdaje, że go wsadzili w fikcję elektroniczną, ma się przekonać, jak jest z nim NAPRAWDĘ. Czy jest na jawie, czy w jakimś kaftanie elektronicznego niebezpieczeństwa...

- Wie pan co? - Fajka znowu mu zgasła, skwiercząc. - Może przestaniemy chodzić wokół rzeczy i wejdziemy w samo sedno? KTO pana namierza? PO CO według pana chcą dokonać tego co my nazywamy sensoryczną derywacją i restytucją pod wpływem programu symulacyjnego? Skąd wzięły się pańskie obawy i podejrzenia?

- Stąd, że Bili tak samo jak ja był udziałowcem w IBV Machines i nasze konta były dość podobne, a ponadto osoby, powiedzmy tylko "osoby które mogą liczyć na spadek", otaczały i otaczają każdego z nas...

- Podejrzewa pan kogoś z rodziny?

- Doktorze. Pan jest lekarzem, a nie prawnikiem. Gdybym miał uzasadnione bardziej konkretnie podejrzenia, zwróciłbym się przez kogoś z mojej ochrony do prywatnych detektywów. Nikogo nie podejrzewam konkretnie i wolę o tym nie mówić. Chodzi po prostu o to, że Billa porwali nie wiadomo dobrze jak, w jakich okolicznościach, że wsadzili mu na czaszkę ten jakiś czepiec z elektrodami, że położyli go w kącie jakiegoś strychu i że leżał tam przez dwa tygodnie, nie jedząc nic naprawdę, chociaż mu się zdawało, że zażera się w najlepszych lokalach i że otaczają go jakieś odaliski czy nimfy. On zawsze miał słabość do dziewcząt lżejszego prowadzenia i cięższej wagi, ale nie to chciałem powiedzieć. Jak ten prąd wysiadł, udało mu się wydostać, stracił coś dwadzieścia pięć kilo wagi i ledwie doczołgał się do telefonu. Kto za tym stał, on nie wie albo mówi, że nie wie, ale ja się domyślam. Chodziło o to, co się nazywa *vacuum iuris*. To mi moi prawnicy wyłożyli. Jeżeli nie ma prawa, to nie ma przestępstwa. On by tam z głodu umarł, i po jakimś czasie znaleziono by jego zwłoki i oczywiście wszystkie ślady tego "porwania" usunęliby, tak żeby wyglądało na to, że on, powiedzmy, zwariował, zagłodził się, no i w bój poszliby prawnicy spadkobierców. Tak się teraz robi: tak o tym piszą.

- Rozumiem. A zatem pan podejrzewa o podobne zakusy kogoś ze swoich krewnych czy osób mających legaty w pana testamencie i chce pan...

- Przepraszam, doktorze. Ja z panem nie zamierzałem i nie zamierzam nic mówić o spadku i o tym, co może się stać z moimi milionami. Ja wyłącznie życzę sobie, aby pan fachowo wyjawiał mi, JAK można odróżnić sfałszowaną jawę od jawy autentycznej. To wszystko. Z resztą dam sobie z pozwoleniem radę gdzie indziej.

- Wie pan co? Pan jest zdenerwowany. Nie, proszę mi nie przerywać. Na razie, podkreślam: NA RAZIE, znajduje się pan w stanie autentycznej jawy i to, co mogę panu powiedzieć o metodach różnicowania, jest marginesem mojej lekarskiej specjalności. Jakiś programista powiedziałby panu może więcej i lepiej...

- Ale żaden programista nie jest zobowiązany do zachowania w zupełnym milczeniu tego, z czego ja się PANU zwierzam. Sam rozgłos o moich obawach może mi poderwać kredyt. Więc, u licha, doktorze, będzie mnie pan oświecał, czy nie?

- W miarę moich możliwości. - Fajka znów mu zgasała i miałem ochotę wyrwać mu ją z ręki i wyrzucić przez okno. - "Namierzanie", jak pan to nazwał, polega, jak wiadomo, na tym, żeby znane kandydatowi otoczenie z największą skrupulatnością sfilmować, sfotografować, nagrać dźwiękowo i tam dalej. Z tego powstaje potem osnowa programu. Ponadto oczywiście muszą rozeznaczyć się w najbardziej osobistym i prywatnym życiu

kandydata, robią podobno czasem "generalne próby" ze *stuntmanami*. Im dokładniej uda im się zarejestrować WSZYSTKO tworzące otoczenie danej osoby, jej rodzinę, jej znajomych i tam dalej, tym większa szansa, że porwany da się na tę wędkę schwytać i nie odróżni fikcji od rzeczywistości.

- Ależ ja to wiem. To można w każdej gazecie przeczytać. Po co mi pan to mówi?

- Po to, żeby wyjaśnić, że taka imitacja znanego otoczenia jest praktycznie niewykonalna. Niemożliwa. Wystarczy, żeby pan miał w swojej kasie pancерnej jakieś stare listy albo jakąś fotografię z dawnych lat, którą pan dobrze pamięta, i jeżeli pan nagle nic nie znajdzie, podejrzenie o porwanie stanie się nader zasadne. Do nikogo wtedy o pomoc i poradę nie może się pan zwrócić... pan wie dlaczego?

- Czytałem o tym. Bo jeżeli jestem zamknięty w fikcji, ten kogo będę prosił o pomoc TEŻ będzie wytworem tej fikcji i zacznie mnie przekonywać, że jestem na jawie.

- Tak jest. Właśnie tak, i to jest technologicznie wytworzona najdoskonalsza w historii metoda wyprodukowania solipsyzmu, tego, który biskup Berkeley...

- Zechce pan dać spokój biskupom, doktorze. Co wtedy robić? Mówże pan wreszcie.

- Ażebym maksymalnie utrudnić dyferencjację, programiści z reguły przenoszą porwanego w zupełnie obce dlań otoczenie. No, powiedzmy, na progu domu dopada go posłaniec z telegramem, albo dostaje telefon od rzekomego przyjaciela, żeby natychmiast udał się tam a tam, on słucha i ztraca się jego rozeznanie w realnej rzeczywistości. Także Judzi bliskich jakoś się "likwiduje". Żona nagle musiała wyjechać, kamerdynera zabrało pogotowie, bo dostał zawału i tak dalej.

- Aha. To znaczy, czy zwiastunem ostrzegawczym będą nagłe zmiany w trybie życia?

- Niby tak, ale nie są to pewne zwiastuny: wszystko aranżowane będzie wedle pomysłowości programistów.

- Więc co wtedy robić, do diabła?

- Należy robić to, czego programiści nie byliby w stanie wymyśleć: nazywają to "złamaniem programu". Otwiera się wtedy przed fantomatyzowanym zupełna pustka, jako dowód, że NIE jest na jawie.

- Skąd ja mogę wiedzieć, czego ten jakiś gangsterski programista się nie może domyślić?

- Nie ma na to żadnego panaceum. Jest wtedy sytuacja GRY: pan gra z maszyną, to znaczy z komputerem, do którego mózg pana podłączono, i musi pan sam - wyłącznie sam, w pojedynkę - rozstrzygać, co jest jeszcze możliwe, a co nie.

- To znaczy, że jakbym zobaczył lądujący talerz z zielonymi człowieczkami...?

- Ach, drogi panie, oni na tak prymitywne rzeczy nigdy nie pójną. Realność musi być solidnie imitowana. Ja panu więcej nie mogę powiedzieć, mogę dać tylko ogólną radę: w czasie snu, kąpieli, rannej toalety musi pan wyjątkowo uważać. Ale pan ma przecież swoją ochronę?

- Mam. Dziękuję, doktorze. Nie powiem, żebym się spodziewał być od pana cudów, ale trochę mnie pan jednak rozczarował. W następny piątek znów pana odwiedzę...

## II.

Pancerny Ferrari, którym jechałem do domu, poruszał się tak, jakby wcale nie ważył trzech ton. Byłem zadowolony z tego nabytku. Przedemną i za mną jechali moi ludzie. Pomyślałem, bez najmniejszej satysfakcji, że mój sposób życia coraz bardziej upodabnia mnie do jakiegoś szefa mafii. Artylerii coraz więcej - zaufania coraz mniej. Dobrze byłoby wybrać się gdzieś samotnie i bardzo daleko, ale przecież trzeba zarezerwować bilety, hotele, diabli wiedzą, gdzie może tkwić jakiś podsłuch. Doktor Gordon miał zapewne rację w tym, że jednak należy trzymać się w środku swojskiego otoczenia, wtedy będzie jeszcze najbezpieczniej.

Był korek. Staliśmy, klimatyzacja robiła co mogła, ale już trochę pośmierdywało. Szyby pancerne, zawsze coś. Krawiec namawiał mnie ostatnio na kuloodporną kamizelkę, ale ważyła prawie sześć funtów, a poza tym mówią, że teraz strzelają albo niżej pasa, albo w głowę. Niedługo będziemy się poruszali w stalowych albo tytanowych hełmach, pomyślałem. Światła zmieniły się, Ferrari skoczył do przodu miękko jak kot. Siedziałem na tylnym siedzeniu sam, oddzielony szybą od kierowcy. Czułem jakiś niesmak po rozmowie z Gordonem, nie wiadomo dlaczego. Przejechałem ręką po głowie - najwyższy czas, żeby się ostrzyć. Nie znoszę tych męskich warkoczy. Ale jak to zrobić w sposób nie podległy "namierzaniu". Przyszło mi do głowy, że pomimo autentyczności tej historii z Billem psychiatra nie brał moich podejrzeń całkowicie serio. Od tego jest psychiatrą - próbowałem uciszyć to podejrzenie. Czy długo można tak żyć, w kokonie osłon, czy nie należy porozumieć się z jakimś naprawdę poważnym autorytetem: jak ZAPOBIEC porwaniu, a nie, jak rozpoznawać, czy JUŻ nastąpiło... Zajechaliśmy przed bramę, otwarła się sama. już słyszałem szczekanie psów. Psy nie zmylą mnie, nie zdradzą i nie oszukają, pomyślałem wreszcie, kiedy Peter otwierał przede mną drzwi auta.

## III.

Rossiniego, mego fryzjera, kazałem zamówić na dziesiątą. Butler tuż przed śniadaniem podszedł, żeby mi powiedzieć, że Rossini został odwieziony do szpitala, bo zasłabł, ale posyła mi swego zastępcę. Jakoż trochę po dziewiątej pojawił się młody brunet,

typowy Włoch, tylko żeby mi wręczyć porządnie zamkniętą paczuszkę. Znalazłem w środku owinięty plastikowymi wiórkami list od Rossiniego: swoim napuszonym stylem zawiadamił mnie, że za "cousina" nie może ręczyć i dlatego radzi mi udać się do jego szwagra na samym skraju Manhattanu. Naprzeciw fryzjerni jest sklep sportowy; do mnie ten jego szwagier przyjechać nie może, bo nie ma z kim zostawić lokalu. Na wszelki wypadek kazałem zadzwonić do szpitala, żeby Rossini potwierdził autentyczność listu. Potwierdził: tak mi powiedział sekretarz. Rozważyłem sytuację. Jeżeli zacznę podejrzewać wszystkich, to sam wyląduję w końcu u Gordona na zamkniętym oddziale. Zleciłem więc osłonie, żeby udała się do tej cholerniej fryzjerni i stamtąd doniosła mi, czy powietrze jest czyste. Było. Pojechałem, parę kroków trzeba było przejść. Rzeczywiście po drugiej stronie tej małej uliczki znajdował się sklep, w którego oknie wisiały różne wiosła, majtki i materace. Jeden był w czerwone i niebieskie pasy. W fryzjerni Cocconiego panował przyjemny chłód i nie było, oprócz niego, żywej duszy. Kazałem się ostrzyć, umyć głowę i gdy wziął się sprawnie do dzieła, wyjrzałem jeszcze raz przez okno. Jeden z moich ludzi stał tuż u drzwi. Nie lubię mycia głowy, ale leżałem spokojnie zawinięty w pachnące płótna jak niemowlę, fryzjer rozczesał mnie, potem wcisnął mi na głowę siatkę.

- Proszę to zdjąć.

- Fryzura lepiej się utrzyma... - sprzeciwił się słabo.

- Zdejm pan to zaraz.

Zdjął, osuszył mi włosy, które rzeczywiście rozdmuchały się, ale było to nieważne. Wychodząc na ulicę, popatrzyłem w stronę tego sklepu sportowego i zdziwiłem się, bo na wystawie wisiał teraz materac w białe i zielone pasy. Skinąłem palcem na jednego z ludzi mojej osłony.

- A tak, powiedział, oni zmienili wystawę jak pan był u fryzjera.

Cóż było dodać - Ferrari znów ruszył i dotknąwszy parę razy głowy przekonałem się, że jest krótko ostrzyżona i jeszcze odrobinę wilgotna. Ale coś ssało mi serce czy żołądek. Kazałem szoferowi jechać przez drugi most, gdzie panowały potworne korki. Osłona była za mną. Niby nic, ale czułem się jakiś osłabiony. Czas najwyższy, żeby pójść do Gordona, pomyślałem, bo i bez tej całej fantomatycznej grozy dostanę jakiegoś nerwicowego pomieszania. Pół godziny przepychaliśmy się przez cholerny most, a kiedy byliśmy już blisko mego domu, powietrzem targnęła nagle silna eksplozja. Zaraz za rogiem zatrzymała nas policja. To była bomba i, oczywiście, podłożona przed moją siedzibą. Wezbrało we mnie podejrzenie. Podeszedłem na tyle, na ile pozwolili mi ludzie straży pożarnej, stałem przy policjancie i oglądając fasadę, okoloną dymiącym gruzem, z całym piętrem wtłoczonym w

kawałkach muru i szkła w także dymiącą głąb domostwa, zastanawiałem się już nad tym, co muszę zrobić, ażeby się przekonać, że to prawdziwa jawa. Przypomniałem sobie fotografie dziewcząt, schowane w kasie na piętrze, zwłaszcza tę Lily, której nigdy nikomu ni pokazałem. Tego byłem pewien. Szyfr pamiętałem, ale jak tu dostać się na piętro? Przyszło zorganizować całą akcję w celu wydobycia sejfu: dźwig, ludzie, już widziałem tę cholerną kasę jak dyndała w zaczepach stalowych lin, kiedy z góry część jeszcze nie całkiem zwałonej ściany runęła wprost na stalowe pudło i w obłokach kurzawy wpadło wszystko w pełne ciemności piwnice.

Wtedy zrobiłem coś, co miało być zgodne z wskazaniem doktora Gordona. Kazałem zawieźć się do tego sklepu sportowego naprzeciw fryzjera i, wszedłszy, zażądałem nadymanego materaca w pasy czerwone i niebieskie.

- Akurat tego już nie mamy - wypalił mały subiekt z łysą głową skina - jest podobny, proszę pana, czerwono-zielony... to ten.

- Ale ja chcę ten, który wisiał u was na wystawie godzinę temu.

- Tamten sprzedaliśmy. Możemy zamówić taki sam, będzie jeszcze dzisiaj...

Wyszedłem z tego sklepu bez słowa. Zajrzałem do fryzjera - ukłonił mi się. Już nic nie wiedziałem. Obejrzałem własne ręce, do domu wrócić nie mogłem; kazałem zawieźć się do Ritza, wynająłem apartament i zatelefonowałem najpierw do żony na Florydę, a potem do Gordona. Żona o niczym nie wiedziała, a ja nie miałem ochoty rozmawiać z nią o stratach, jakie poniosła wskutek zrujnowania domu, pilniej mi było do Gordona, ale telefon odebrała automatyczna sekretarka.

Siedziałem więc na kanapie w jakieś ohydne pszczołki w Ritzu, popijałem tonie z niesmakiem i rozważałem w duchu, co robić. Recepcja już trzy razy awizowała mi reporterów, łakomych wywiadu, ale powiedziałem, że nie mam do tego głowy i kazałem dwu ludziom osłony stanąć przed moimi drzwiami. Uprzednio przyjrzałem im się bacznie, ale nie wypatrzyłem niczego. Ja się, szczerze mówiąc, nigdy nie wpatrywałem w oblicza ludzi mej osłony i to się teraz na mnie mściło. Byli tacy sami jak przedtem albo nie. Zresztą tak czy owak zmieniali się co sześć godzin. Jeżeli zacząłbym ich wypytywać (o co?), to najwyżej dostarczę dodatkowej strategicznie istotnej informacji programowi komputera, który owładnął moim mózgiem - O ILE do tego rzeczywiście doszło. Najpaskudniej nie podobała mi się scena u fryzjera, ów moment, kiedy wciskał mi siatkę na włosy: nie widziałem jej. Czyż nie mogły to być elektrody? Taki typowy czepiec fantomatyzujący. Być może, pomyślałem, leżę w jakiejś cuchnącej starej skrzyni na jakimś poddaszu, i nie widzę sposobu, któryby mnie upewnił, że NAPRAWDĘ jestem w hotelu. Co robić? Co robić?

Rozważyłem po kolei następujące scenariusze:

1) wezwę do hotelu na obiad wszystkich moich prawników, brokera, maklera, kasjera, sekretarza, i tam dalej, i przypatrzę im się należycie. (Jeżeli jednak zostałem razem z moim otoczeniem dokładnie "namierzony", będą to nie moi ludzie, lecz fantomy, produkowane przez komputer);

2) mogę wezwać pokojówkę (ta, co przyniosła mi tonię, a potem coś tam jeszcze była wcale przystojna) i zgwałcę ją

(jeżeli jednak ona nie ma nic przeciw czemu podobnemu i nie podniesie krzyku, niczego się nie dowiem co do fantomatyzacji, najwyżej wdepnę w aferę, do której nie mam obecnie najmniejszej ochoty);

3) mogę udać, że dostałem ataku szału: ale to jest najgłupszy wariant, gdyż zawiozą mnie do szpitala psychiatrycznego:

4) mogę kogoś zamordować, jednak, jeżeli jestem w autentycznej rzeczywistości, nie wyjdzie mi to na zdrowie;

5) muszę zrobić coś niespodziewanego i całkowicie nieobliczalnego.

Zdecydowawszy się na numer piąty, zjechałem na parter i wszedłem do hotelowej kuchni. Bardzo korzystnie, bo blisko na ścianie wisiały przeróżne noże, jak rzeźnicze, ale na początek wziąłem się do ucha ogromnego kotła z jakąś zupą i wyclusnąłem całą zawartość na dwu kuchcików w białych "turbanach", którzy patrzyli na mnie z osłupieniem. Ponieważ jednak ten mój wyczyn uszedł mi, przynajmniej bezpośrednio, na sucho, zacząłem wielkim widelcem ciskać jakieś zrazy, smażące się na patelniach, gdzie się dało; już biegło ku mnie kilku biało odzianych ludzi. Mało tego, rzekłem sobie, czyż milioner nie może z czystego zachcenia wylewać zupy i rzucać kotletami? Zachowuję się jak ostatni idiota - nie ma rady, ja muszę zdobyć pewność...

Z nożem w ręku wybiegłem z kuchni i przez kilka korytarzy dostałem się do hallu. Przed recepcją stało kilka młodych kobiet, więc jednej z nich zdarłem spódniczkę - miała jednak zupełnie zwyczajne różowe majtki - drugiej usiłowałem wyrwać włosy z głowy i wyobraźcie sobie, że zostały mi w ręku, bo nosiła perukę, a ja, słysząc za sobą jakieś krzyki, piski, widząc, że muszę iść dalej, że nie mogę już żadną miarą powstrzymać się w tym śmiertelnym pasowaniu z KOMPUTEREM, zamachnąłem się nożem na recepcjonistę. Trafiłem go dobrze.

#### IV.

Obecnie siedzę w celi, oskarżony o zabójstwo, przy czym moi prawnicy starają się o ekspertyzę psychiatryczną, która wyjaśni, że działałem w stanie niepoczytalności. Jeżeli nie pójdzie dobrze, to możliwe jest nawet krzesło elektryczne.

Ale czy na pewno?

Wszystko zależy od tego, czy ten niebiesko-czerwony materac naprawdę ktoś kupił akurat jak mnie strzygł fryzjer, czy też materac znikł, ponieważ programista gangsterów okazał się niedostatecznie precyzyjny. Tak czy owak nic nie wiem: próbowałem się powiesić, ale prześcieradło urwało się.

Ale czy naprawdę?